

NAUKA POLSKA

JEJ POTRZEBY, ORGANIZACJA I ROZWÓJ

Kolekcja Władysława Findeisena

XXV(L)

ROCZNIK KASY im. JÓZEFA MIANOWSKIEGO
FUNDACJI POPIERANIA NAUKI
2016

WŁADYSŁAW FINDEISEN

Wspomnienia 1944

Matura i wojsko

W pierwszych dniach maja 1944 r. zdawałem maturę na kompletach Liceum im. Staszica; postanowiliśmy wtedy, że trzeba wstąpić do Armii Krajowej. Ja po prostu myślałem, że nie można dłużej zwlekać, zwłaszcza że mój brat Stanisław był już wtedy absolwentem Szkoły Podchorążych ZWZ-AK i żołnierzem batalionu „Zośka”.

Okazało się, że dwaj uczestnicy naszego kompletu licealnego (Kazik Jackowski i Kazik Zaleski) należą do konspiracji już od dawna. Kazik Zaleski wyjechał zaraz po maturze do oddziałów AK działających za Bugiem¹⁰, ale Jackowski (ps. Krzysztof) doprowadził do kontaktu z kim trzeba. Zaczęliśmy przechodzić szkolenie, instruktorem był podchorąży Chocholowski (Fryderyk Zoll) starszy od nas o dwa lata; był on potem naszym dowódcą drużyny – będzie jeszcze o nim mowa. Któregoś dnia nastąpiło złożenie przysięgi, zapewne był przy tym jakiś wyższy rangą dowódca.

Parę dni przed 1 sierpnia (mogło to być 28 lipca) zwołano nas na koncentrację, która miała miejsce w opróżnionej specjalnie willi przy ul. Parkowej 32.

Następnego dnia ogłoszono, że kto chce, może wrócić do domu i tam czekać na ponowny sygnał. Ja postanowiłem zostać, ale część kolegów z mojego dawnego kompletu z możliwości tej skorzystała i już do nas nie dotarli¹¹.

¹⁰ Został tam żołnierzem 30 Poleskiej Dywizji Piechoty AK; oprócz akcji bojowych przeszedł kurs szkoły podchorążych; skazany przez sąd LWP na 10 lat więzienia, warunkowo zwolniony, w 1946 r. wyjechał nielegalnie do Francji; odznaczony Virtuti Militari oraz Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

¹¹ Janusz Wdowiak i Wojtek Zieliński przedostali się z Placu Narutowicza do Śródmieścia i dołączyli do batalionu „Golski” w rejonie Politechniki, Andrzej Głowacki i Jurek Ilmurzyński wyszli z oddziałami dzielnicy Ochota za miasto i cudem uratowali się z masakry w Pęcicach, chowając przez wiele godzin po szyję w stawie między szuwarami, jak Jan Skrzetuski pod Zbarażem.

Godzina W

Przyszedł 1 sierpnia. Dostajemy opaski z literami WP, orłem i numerem plutonu, w moim przypadku było to „126”¹². Wiemy już, że nasze plutony (125, 126 i 127) tworzą kompanię dowodzoną przez kapitana Cegielskiego (Tadeusz Bartoszek). Dowódcą mojego plutonu jest ppor. Jasińczyk (Konstanty Jabłoński)¹³.

Rozdawana jest broń, bardzo skąpa, ja dostaję jeden granat produkcji konspiracyjnej, tzw. filipinkę. W całej kompanii są tylko dwa steny, jeden czy dwa karabiny i kilkanaście pistoletów, ale mamy moździerz (zrzutowy) i kilkadziesiąt do niego nabojęw¹⁴.

Jest nas 60–70 osób, wielu nie zdążyło wrócić, podobnie jak moi koledzy. Odpowiednio wcześniej przed godziną 17 wchodzimy na teren Łazienek, przechodzimy bez przeszkód do Ogrodu Botanicznego. Stąd, poprzez Aleje Ujazdowskie, mamy atakować gmach GISZu (Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych, dziś siedziba Rady Ministrów). Od celu dzieli nas nie tylko ulica, ale i wysokie ogrodzenie Łazienek.

Moździerz ostrzeliwuje budynki po drugiej stronie Alej (raczej dalsze, bo pociski przenoszą – moździerz stał zbyt blisko), Niemcy reagują ogniem karabinów maszynowych. O natarciu z naszej strony nie może być mowy, natomiast od tyłu, z rejonu ul. Podchorążych i mieszczących się tam koszar, zbliża się tyraliera niemieckiej piechoty – widać sylwetki między drzewami.

Czeka nas odwrót – moździerz pospiesznie wystrzeliwuje pozostałą amunicję, potem zostaje zniszczony. Był przy tym trochę śmieszny wypadek: z pośpiechu włożono do lufy dwa pociski jeden po drugim. Pierwszy z nich odpalił i wyrzucił w górę ten drugi, który spadł – koziołkując w powietrzu – na leżącą na ziemi łączniczkę, zatrzymując się na miękkiej części ciała poniżej pleców. Może dzięki temu nie wybuchł¹⁵.

Odwrót był bardzo pospieszny; kpt. Cegielski był już wcześniej ciężko ranny, przeniesiono go do budynków w Ogrodzie Botanicznym¹⁶, dowództwo kompanii przejął ppor. Sławek (Sławomir Malczewski). On także był ranny, w głowę, pamiętam jak krwawił.

Zbyszek Zagórski dostał w czasie odwrotu postrzał w nogę, ale mógł jakoś kuśtykać, odprowadzono go z powrotem na Parkową, gdzie pozostał dobrze wyposażony punkt sanitarny¹⁷.

Pokonaliśmy wysoki mur okalający Łazienki, potem kluczyliśmy między podwórkami i ogrodzeniami zabudowy ul. Parkowej w kierunku ul. Belwederskiej, ścigali nas

¹² Wbrew niektórym dzisiejszym wyobrażeniom na opaskach powstańczych nigdy nie było liter „AK”.

¹³ Znacznie później, po Powstaniu, dowiedziałem się, że byliśmy 2 kompanią VII Zgrupowania 2 Rejonu Obwodu I Śródmieście, którym dowodził rtm. Ruczaj (Czesław Grudziński); Zgrupowanie stało się potem batalionem „Ruczaj”, ale mój pluton był już wtedy gdzie indziej – w batalionie „Oaza” na Mokotowie.

¹⁴ Angielski moździerz kalibru 81 mm, pocisk ważył ok. 4,5 kg, mógł być wystrzeliwany na odległość do 2800 jardów.

¹⁵ Podaję za W. Cegięłą, *Muzeum Powstania Warszawskiego, Archiwum Historii Mówionej*.

¹⁶ Stąd do szpitala na ul. Chocimskiej, potem do szpitala na Okęciu, tam zmarł 27 września 1944 r.; ur. 1896, był kapitanem rezerwy, lekarzem wojskowym w 1920 r.

¹⁷ Zagórski ukrywał się przez 4 tygodnie po ruinach i strychach okolicznych domów, później trafił na Szucha i tam był wzięty do pracy, m.in. przy uprzątaniu trupów; w październiku go zwolniono i dotarł do rodziny przebywającej w Krakowie.

Niemcy; por. Sławek odstraszył ich granatem. Wielką rolę odegrały nożyce do przecinania zasieków (nowiutkie, angielskie), tworzono nimi przejścia w siatkach ogrodzeniowych.

Wreszcie ukryliśmy się w wysokich budynkach mieszkalnych przy ul. Belwederskiej, pustych, bo mieszkające tam rodziny niemieckie były w lipcu ewakuowane w związku ze zbliżającym się frontem. Rozmieszczono nas w kilku mieszkaniach, nakazując zupełną ciszę (chodzić w skarpetkach!). Tam właśnie, na drugi lub trzeci dzień, Kazik Jackowski postrzelił się w kolano przy czyszczeniu swego prywatnego pistoletu (zbrojówka kal. 7,65 – będzie jeszcze o nim mowa). Rannego przeniesiono nocą na Mokotów i leżał pod opieką rodziny, czy przyjaciół, do końca Powstania na Mokotowie.

Okna domów przy ul. Belwederskiej wychodziły na ulicę, za którą było pole, a dalej ul. Dworkowa i siedziba policji niemieckiej. Pełniąc dyżur obserwacyjny przy okienku na strychu widziałem jak Niemcy wypuścili dużą grupę (sto osób lub więcej) ludności cywilnej schodami w dół, a kiedy ludzie ci znaleźli się u podnóża skarpy otworzyli do nich ogień z karabinów maszynowych. Potem chodzili i dobijali rannych. Widok był przerażający – co innego wiedzieć o takich zdarzeniach, a co innego widzieć na własne oczy (zwłaszcza mając 18 lat). Stała się też rzecz zadziwiająca: po pewnym czasie (może po godzinie) pojawiły się sanitariuszki w białych fartuchach i z opaskami (oraz flagą, ale tu mogę się mylić) czerwonego krzyża i wyniosły na noszach te osoby, które jeszcze żyły. Był to przykład ogromnej odwagi – nawet Niemcy musieli być zaskoczeni, nie strzelali¹⁸.

Po paru dniach, pochmurną nocą, przeprowadzono nas w wielkiej ciszy na Mokotów; byliśmy już nie kompanią, lecz „plutonem Jasińczyka”. Porucznika Sławka zabrano wcześniej do szpitala.

Mokotów i zrzuty w Lesie Kabackim

Pierwsze dzienne wrażenie z Mokotowa – to leżący na ulicy Ursynowskiej rząd szarych jak cement, pokręconych trupów ludzi, wyciągniętych z gruzów zburzonego domu. Potem kilka dni w zasadzie beczynnych, jakaś musztra, „robią z nas wojsko”, uczą piosenek (ale nie „Marszu Mokotowa”, powstał później).

Dostajemy zadanie: przejść do Lasu Kabackiego, żeby przynieść pochodzącą ze zrzutów broń i amunicję. Idziemy nocą, bardzo ostrożnie, przez Wolicę, między niemieckimi placówkami. W lesie jesteśmy kilka dni. W dzień jest ciepło, słoneczna pogoda, w nocy przeraźliwie zimno. Mam na sobie spodnie-pumpy, koszulę i letnią marynarkę. Usnąć tak bez przykrycia pod gołym niebem niepodobna, lepiej już stać lub chodzić, a przespąć się w dzień. Wokół lasu są posterunki węgierskie, jest z Węgrami jakaś umowa, zdaje się, że sprzedają nam trochę amunicji i granatów ręcznych. Wreszcie którejś nocy zrzut: nisko przelatuje samolot, nie widać go zupełnie, zrzuca na las zasobniki na spadochronach według rozmieszczonych sygnałów (ognisk)¹⁹. Rano patrole rozchodzą się po lesie, żeby je odszukać, pozdejmować z drzew, jeśli trzeba.

18 L.M. Bartelski w książce *Mokotów 1944*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1971, s. 290, podaje że były to siostry ze Schroniska dla Paralityków przy ul. Belwederskiej 20 oraz trzy franciszkanki.

19 Źródła podają zrzut na Las Kabacki w nocy 17/18 sierpnia.

Wszystko jest przynoszone do komendanta bazy zrzutowej porucznika Wróbla (Stanisław Topór).

Był też incydent: jakaś luźna grupa przebywająca w lesie (było ich zapewne sporo, różnych rozbitków z pierwszego dnia Powstania) zagarnęła jeden z zasobników z bronią. Przyprawiono trzech takich ludzi przed porucznika, który ich uświadomił i zbeształ, a następnie wyjął pistolet i zakomenderował „w tył zwrot”. Jakoś jednak do zastrzelenia nie doszło, uproszono ułaskawienie – oni przecież także chcieli walczyć z Niemcami.

W lesie odbywaliśmy służbę jako tzw. czujki, rozstawione wokół bazy zrzutowej. Stałem z kolegą czy dwoma przy skrzyżowaniu leśnych dróg, jechał jakiś starszy człowiek na rowerze; okazało się, że to Volksdeutsch – w tej okolicy były od dawna kolonie niemieckich rolników. Odprowadzono go do komendanta, tam zapadła decyzja: trzeba go zastrzelić. Logika i okrucieństwo wojny: człowiek ów za wiele widział. Oficer odpowiedzialny za swoich ludzi nie mógł go puścić wolno, a internowanie w warunkach lasu nie wchodziło w grę. Do wykonania zgłosił się na ochotnika strzelec Jurand (Leon Wiśniewski), młody chłopak, którego brat (kaprał Sosna, Karol Wiśniewski) zginął w przeddzień Powstania na Powiślu przy próbie odbierania Niemcom broni.

Wreszcie sformowano któregoś wieczoru kolumnę powrotną. Szliśmy obławowani, posterunki węgierskie zostawiły lukę na przejście, przybyliśmy na Mokotów bez strat. Ładunek trzeba było oczywiście oddać.

Na Sadybie

Następnych parę dni spędziliśmy na Mokotowie, zapewne wtedy wzięliśmy udział w nieudanym ataku na Wilanów. Zeszliśmy bardzo ciemną nocą gdzieś od Królikarni, paruset ludzi, bardzo słabo uzbrojonych – czoło pochodu napotkało na silny opór Niemców, utknęliśmy w polu, kazano zawrócić.

Potem pluton Jasińczyka został skierowany na Sadybę, opanowaną już przez oddziały z Mokotowa²⁰. Utworzyliśmy placówkę u wylotu ul. Goraszewskiej, przy Jeziorku Czerniakowskim. Wtedy się dowiedzieliśmy, że wchodzimy w skład batalionu „Oaza”; należał do niego m.in. dywizjon „Jeleń”, dowodzony przez rtm. Jeżyckiego (Lech Głuchowski); jednostka ta pochodziła – podobnie jak my – ze Śródmieścia.

W ostatnim tygodniu sierpnia²¹ doznaliśmy dramatycznej i niepotrzebnej straty: Jasińczyk dał się uprosić i pozwolił na wyjście 4-osobowego patrolu na dalsze przedpole, do osady Augustówka, żeby zdobyć na Niemcach trochę broni. Poszli oczywiście nocą, powrócił tylko jeden, podchorąży Osa. Poległ wtedy pchor. Chochołowski, jego przyjaciel kpr. Rawicz (Janusz Kostyrko) oraz strz. Marynarz (Osa i Marynarz dołączyli do plutonu kilka dni przedtem). Porucznik Jasińczyk przeżył to wydarzenie bardzo dotkliwie.

W dniach 1–2 września Niemcy zdobyli Sadybę; od naszej strony nie atakowali, ale przyszło wycofać się w dużym pośpiechu – zapamiętałem bieg wzdłuż ul. Czerniakowskiej, obok kościoła Bernardynów.

20 Sadybę zajęto w nocy 17/18 sierpnia.

21 28 sierpnia.

Piaseczyńska róg Dolnej

Obsadziliśmy, wraz z innymi oddziałami, blok mieszkalny u zbiegu ulic Piaseczyńskiej i Dolnej, a także jego przedpole. Pamiętam jak miałem akurat służbę na barykadzie na rogu Dolnej i Belwederskiej, kiedy wizytował ten odcinek dowódca Dolnego Mokotowa pplk. Waligóra (Remigiusz Grocholski).

Przeżywaliliśmy bombardowania lotnicze. Przejmujące wrażenie: leżąc na ziemi widzimy nurkujący samolot i odrywające się od niego trzy bomby, które lecą prosto na nas. A potem upadają sto lub więcej metrów dalej.

Blok na rogu Piaseczyńskiej i Dolnej tworzył literę L, był ostrzeliwany od tyłu przez artylerię i snajperów. Zginął m.in. wspomniany już Jurand (14 września).

Zapewne w tym okresie (1–15 września) odwiedziłem Kazika Jackowskiego, leżącego w jakiejś piwnicy przy ul. Puławskiej i on oddał mi swój prywatny pistolet ze smutnym stwierdzeniem, że jemu już nie będzie potrzebny. Przejście z Piaseczyńskiej na Górny Mokotów odbywało się piwnicami, pełnymi chroniących się tam ludzi. Trudne były ich spojrzenia – to my byliśmy winni ich niedoli i niepewności życia.

Rotmistrz Jeżycki

W dniach poprzedzających 15 września byłem przydzielony jako łącznik do rotmistrza Jeżyckiego, który z grupą kilkunastu żołnierzy obsadzał placówkę zwaną „Marysinem”. Był to samotny jednopiętrowy dom, położony w kępie drzew, kilkaset metrów od bloku przy ul. Piaseczyńskiej, w kierunku południowo-wschodnim.

Dnia 15 września Niemcy podjęli kolejny atak w tym rejonie miasta. Zaczęło się od ostrzału artyleryjskiego, na „Marysin” gęsto padały pociski. Żołnierze schronili się w piwnicy budynku, na zewnątrz pozostali obserwatorzy. Gdy donieśli, że widać już oznaki natarcia, rtm. Jeżycki (z łącznikiem przy jego boku) wszedł do piwnicy i kazał wychodzić. Nikt się nie ruszył. Dowódca musiał przemówić bardzo stanowczo, a nawet wyciągnąć pistolet – ciarki przeszły mi po skórze. Trzeba tu dodać, na usprawiedliwienie, że pociski rozrywające się wśród drzew robią szczególnie duże wrażenie, jakby wszystko dookoła się waliło.

Zbiorowy lęk podkomendnych został przełamany, zajęliśmy stanowiska na skraju naszej kępy drzew, leżąc za niskim wałem i czekając na zbliżenie się Niemców. Wtedy rtm. Jeżycki został ranny, zapewne odłamkiem, w nogę w okolicy uda. Zrozumiał, że nie będzie mógł się poruszać, wyjął pistolet i się zastrzelił²². Leżałem w odległości dwóch – trzech metrów od niego.

Myślę, że był na taką decyzję przygotowany: uznał się za wyłączony z walki, a nie chciał narazić swoich żołnierzy na ogromne niebezpieczeństwo przy próbie przeniesienia go pod ostrzałem na tyły, do bloku przy Piaseczyńskiej. Nie zostaliśmy w „Marysinie” – wycofaliśmy się wąskim i płytkim rowem łącznikowym na Piaseczyńską.

Rotmistrza Jeżyckiego przedtem nie znałem; zachowałem o nim wspomnienie człowieka bardzo ludzkiego i przyjaznego, który jednocześnie potrafił być stanowczy,

²² Relacja o śmierci Jeżyckiego, którą podaje L.M. Bartelski, *Mokotów...*, s. 456, nie jest zgodna z prawdą. Wikipedia (patrz „Lech Głuchowski”) daje opis poprawny.

jak pokazuje podany wyżej przykład. 15 września dołączył do tych wszystkich żołnierzy „Jelenia”, którzy polegli w Powstaniu, poczynając od ataku na ul. Szucha w dniu 1 sierpnia. Miał 42 lata.

Obrona Piaseczyńskiej, awans na st. strzelca

Blok na rogu Dolnej i Piaseczyńskiej stał się teraz pierwszą linią obrony. Był ostrzeliwany od przodu, to jest od strony ul. Belwederskiej przez podchodzące czołgi i działa szturmowe, a także z boku, od południowego zachodu, przez artylerię ułożoną gdzieś na Służewcu. Jeden z pocisków wpadł do piwnicy pełnej rannych, na szczęście nie wybuchł. Pod stałym ostrzałem strzelców wyborowych (a także karabinów maszynowych) znalazły się jedyne dojścia do bloku, prowadzące od strony skarpy mokotowskiej i kościoła św. Michała. Padali tu ranni i zabici. Między innymi ranna została na odkrytym skrawku terenu jedna z łączniczek; próby wyciągnięcia jej w bezpieczne miejsce zawodziły, powodowały natomiast dalsze strzały. Trzeba było bezsilnie patrzeć na jej konanie.

W tym czasie, 18 września, mieliśmy możliwość obserwować zrzut zaopatrzenia dokonany z dużej wysokości przez flotyllę samolotów alianckich. Widok był imponujący i początkowo bardzo podniósł nas na duchu. Zaraz się jednak okazało, że spadochrony z zasobnikami opadają na teren opanowany już przez Niemców. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego ten zrzut nie nastąpił znacznie wcześniej²³.

Po mniej więcej tygodniu dalsze utrzymanie bloku przy Piaseczyńskiej okazało się niemożliwe, zarządzono wycofanie. Wszyscy uczestnicy jego obrony zostali rozkazem V Rejonu AK na Mokotowie z dnia 23 września awansowani o jeden stopień, w ten sposób zostałem starszym strzelcem.

Kolejne linie obrony

Linia naszej obrony przenosiła się do kolejnych domów idąc w górę ul. Dolnej, czyli położonych bliżej skarpy. Liczba żołnierzy zmalała, byliśmy natomiast lepiej uzbrojeni – ja miałem już stena (produkcji konspiracyjnej).

Jakieś dwa-trzy dni po opuszczeniu bloku przy Piaseczyńskiej, kiedy mieliśmy stanowiska o sto metrów stamtąd w kierunku skarpy, przyszli wieczorem nieznanymi nam żołnierze z Mokotowa, z innych oddziałów i powiedzieli, że tam w budynku na Piaseczyńskiej zostało ciało ich kolegi, i że oni bardzo by chcieli je przynieść i pochować. Kto na ochotnika z nimi pójdzie jako ostona? Ja się wtedy zgłosiłem, z moim świeżym stenem, poszliśmy nocą i przynieśliśmy te zwłoki. Położyliśmy je koło budynku, w którym byliśmy teraz, a owi ludzie znikli... pochowanie spadło na nas. Może nie mieli przepustki na dłużej?

Napór Niemców na Mokotów nie ustawał. Pewnego ranka, jak się rozwidniło, zobaczyliśmy na przedpolu – w odległości może kilkudziesięciu lub stu metrów – wyko-

²³ Było to 107 amerykańskich „latających fortec” B-17, dla których wreszcie uzyskano zgodę Sowieców na lądowanie na ich terenie, w rejonie Połtawy.

pany w nocy rów strzelecki, obsadzony przez niemiecką piechotę. W dzień słychać było ich głosy, natomiast w nocy nikt nie usłyszał budowy tego okopu.

Było nas mało, z reguły odbywaliśmy całonocne czujki, po dwóch, żeby się nawzajem budzić. Niedostatek snu stał się stanem chronicznym, bardziej dotkliwym niż skąpe wyżywienie. Z tego ostatniego zapamiętałem kładzione kluski, przysypane gruzem i pyłem z sufitów. Mimo to zjadane – przypuszczam, że ze zgrzytaniem zębów.

Ustawiczne zmęczenie i stres obniżały uwagę, mieliśmy wypadek z bronią: trzymaną przez ppor. Jasińczyka na kolanach sten wypalił, kula zraniła siedzącego naprzeciwko żołnierza. Było to kolejne trudne przejście dla naszego dowódcy.

Widywaliśmy sowieckie myśliwce, które przeganiały niemieckie sztukasy. Były też sowieckie zrzuty: nocą słychać było charakterystyczny terkot jakby maszyny do szycia, odgłos „kukuźnika”²⁴, niektórzy widzieli sylwetkę nisko lecącego samolotu. Z tych sowieckich zrzutów dostaliśmy kiedyś amunicję karabinową; na skutek zrzucania w workach bez spadochronów amunicja bywała pogięta i ostrzegano, by nie używać jej do karabinów maszynowych.

Przez parę dni linia frontu przebiegała wzdłuż ul. Konduktorskiej: w domach po jednej stronie byli Niemcy, w domach po drugiej – żołnierze Powstania.

Konduktorską także trzeba było oddać, zatrzymaliśmy się ostatecznie w pustym budynku szkoły, położonym już u samego podnóża kościoła św. Michała. Byłem wtedy przydzielony do obsługi karabinu maszynowego²⁵, którego celowniczym był mój rówieśnik st. strzelec Tolek (Witold Cegiela). Moją funkcją było noszenie taśm z amunicją i podawanie ich do karabinu. Tolek strzelał do dostrzeganych Niemców, trzeba przy tym było często zmieniać stanowisko, aby nie dać się trafić pociskiem z nieprzyjacielskiego działa.

W ostatnich dniach przed 27 września, kiedy byliśmy już przyparci do skarpy mokotowskiej w owym budynku, mieliśmy absolutną pewność śmierci. Było rzeczą niewątpliwą, że albo nas zabije bomba albo nas zastrzelą Niemcy jak tu wejda. Żadnej innej możliwości nie było – myśl o dostaniu się do niewoli i potraktowaniu jako jeńców wojennych w ogóle nie przychodziła nam do głowy. Pamiętam ten nastrój jako poczucie spokojnej determinacji. Nie paniki, nie strachu, tylko determinacji. Tak będzie, ale my tu będziemy trwać do końca, szans nie ma. Potem się okazało, że jednak były, ale owo przekonanie o pewności śmierci to było mocne przeżycie, zapamiętane na zawsze.

Dzień ostatni

Pewnego wieczoru (musiało to być 26 września) dowódca, któremu podlegała okolica ul. Dolnej, por. Gustaw (Andrzej Chyczewski) zebrał oddziały i próbował wprowadzić je do kanałów. Nie wiem, dlaczego do tego nie doszło, ja chyba zostałem z innymi na stanowiskach w szkole.

24 Lekki dwupłatowy samolot wielozadaniowy, produkowany od 1928 r.; silnik 100 KM, prędkość maksymalna 120–150 km/godz.

25 Niemiecki MG 42, prawdopodobnie ze zrzutów; ok. 1200 strzałów na minutę, zasięg skuteczny 2000–3000 m

Następnego dnia ukazały się nad Mokotowem białe flagi – podpisano kapitulację. Por. Gustaw – z ręką na temblaku – raz jeszcze spróbował wejścia do kanału włazem na rogu Dolnej i Puławskiej, tym razem z całym wojskiem i ze skutkiem. Krążyliśmy po kanałach parę godzin doświadczając wszystkich ich realiów, przy tym z dużym obciążeniem. Tolek dźwigał swój MG 42 (ok. 12 kg), ja byłem obwieszony taśmami z amunicją. Nie udało się przejść ani do Śródmieścia, ani na Czerniaków, trzeba było zrezygnować i zawrócić. Wyszliśmy na powierzchnię i powietrze na rogu ul. Belgijskiej, zostawiając w kanale większość broni. Przy włazie stali Niemcy i zabierali resztę; musiałem oddać powierzona mi przed paru tygodniami zbrojówkę.

Niedaleko włazu stał czołg, zapewne „Tygrys” lub „Pantera”. Nigdy przedtem nie widziałem czołgu z tak małej odległości; dotkliwie zdałem sobie sprawę ze słabości naszych powstańczych możliwości.

Mój brat Stanisław Findeisen ps. Olszyna (ur. 1924), o którym wspomniałem na początku, był uczestnikiem konspiracji od ok. 1942 r., należał do warszawskich Grup Szturmowych Szarych Szeregów. Po ich przekształceniu w batalion „Zośka” (01.09.1943) wszedł w skład plutonu dowodzonego przez Konrada Okolskiego ps. Kuba. Po reorganizacji batalionu „Zośka” w czerwcu 1944 r. pluton przyjął nazwę „Felek” i wszedł w skład 2 kompanii „Rudy” dowodzonej przez Andrzeja Romockiego ps. Andrzej Morro.

W czasie Powstania pluton „Felek” brał udział w walkach na Woli (ul. Spokojna, Gęsiówka, Cmentarz Ewangelicki, ul. Okopowa), a następnie na Starym Mieście (Stawki, Bonifraterska, Franciszkańska, Szpital Jana Bożego, Sapieżyńska). Olszyna był w połowie sierpnia ranny w nogę, do oddziału powrócił 24 sierpnia.

Poległ 30 sierpnia 1944 r. na terenie zakładów „Fiata” na ul. Sapieżyńskiej od wybuchu bomby lotniczej, zasypany gruzami wraz z pozostałą obsługą karabinu maszynowego (byli to plut. Stefan Wiśniewski ps. Mucha, sierż. Zbigniew Wojciechowski ps. Pion i sierż. Tadeusz Müller ps. Zawrat).

Był pośmiertnie odznaczony Krzyżem Walecznych i awansowany do stopnia sierżanta podchorążego.

Na jesieni 1944 r. w obozie jenieckim Stalag XB w Sandbostel spotkałem znanego mi wcześniej Andrzeja Wolskiego (ps. Jur) z „Zośki”, który mi jednak o śmierci brata nie powiedział – nie sprzyjał temu czas i okoliczności.

Po moim powrocie do kraju (grudzień 1945 r.) nie miałem kogo wypytywać, nikogo z „Zośki” poza Wolskim nie znałem, a ten jeszcze z zagranicy nie wrócił. Zupełnie nieoczekiwanie, w lutym 1946 r. ukazał się w „Gazecie Ludowej” nekrolog, zawiadamiający o pogrzebie trzech poległych na Sapieżyńskiej: Stanisława Findeisena ps. Olszyna, Stefana Wiśniewskiego ps. Mucha i Zbigniewa Wojciechowskiego ps. Pion.

Byłem na tym pogrzebie, nasi rodzice mieszkali wtedy w Toruniu i trudno im było przyjechać. Staraniem pozostałych przy życiu Zośkowców chowano w jednej trumnie znalezione na Sapieżyńskiej szczątki – sądzono, że trzech osób. Na brzozywym krzyżu umieszczono trzy tabliczki. Wiadomo było, że ciało czwartego poległego tj. Tadeusza

Müllera ps. Zawrat było znacznie wcześniej odszukane przez rodzinę i pochowane na kwaterze batalionu „Zośka” w indywidualnym grobie (9 maja 1945 r.).

Sprawa wydawała się dopełniona, kiedy po miesiącu, to jest w marcu 1946 r., nadeszło na toruński adres powiadomienie PCK, że ciało Olszyny było w kwietniu 1945 r. podjęte z Sapieżyńskiej i pochowane w mogile zbiorowej w Ogrodzie Krasieńskich. Przekazano przy tym znalezione przy poległym dokumenty.

W mogiłach tymczasowych w Ogrodzie Krasieńskich złożono szczątki ok. 3500 osób, byli wśród nich liczni żołnierze „Zośki”, łączniczki i sanitariuszki. Ekshumacja mogił odbywała się na wiosnę 1947 r. i trwała wiele tygodni. Codziennie przy tym dyżurowała, siedząc na krzeselku, Pani Jadwiga Romocka, matka poległych Andrzeja ps. Andrzej Morro i Jana ps. Bonawentura. Pilnowała, by każde wydobyte szczątki kogoś z „Zośki” mogły być przejęte przez przedstawiciela rodziny i pochowane na kwaterze batalionu, a nie w innym miejscu – ówczesne władze chciały bowiem wszelkimi sposobami ograniczać eksponowanie Armii Krajowej na cmentarzu.

Przychodziłem codziennie, nie przerywając studiów na Politechnice, aż któregoś dnia wydobyto z mogiły zwłoki ze znacznikiem nr. 2050, przytwierdzonym przez ekipę PCK w 1945 roku.

Pogrzeb Stanisława Findeisena ps. Olszyna odbył się 23 maja 1947 r., trumnę złożono do grobu przeznaczanego ponad rok wcześniej dla trzech razem poległych żołnierzy.

Władysław Findeisen ps. Władek, sierpień 2013 r.

Wspomnienia rektorskie 1981–1985

Rok 1981: początki, studenci, strażacy

Na jesieni 1980 r. dotarły do Politechniki zjawiska wolnościowe, zrodzone przez gdański Sierpień. Powstały i rozwinęły się NSZZ „Solidarność” oraz NZS (Niezależne Zrzeszenie Studentów), przedstawiciele tych organizacji zaczęli być systematycznie zapraszani na posiedzenia Senatu uczelni. Pod presją „Solidarności” w końcu stycznia 1981 r. złożył rezygnację dotychczasowy rektor prof. S. Pasynkiewicz, a Minister Szkolnictwa Wyższego prof. Janusz Górski zadeklarował, że na jego miejsce mianuje osobę, którą Politechnika sama sobie wybierze – uczelnia powróciła, po wielu latach, do tego podstawowego atrybutu autonomii i samorządności. Było także całkowite *novum* polegające na tym, że opracowana w Politechnice ordynacja przewidywała zaistnienie Zgromadzeń Wyborczych (potem nazwanych kolegiami elektorów), w których skład wchodził w znacznej liczbie przedstawiciele studentów, a także innych niż profesorowie i docenci pracowników uczelni. Dnia 11 kwietnia wybrano mnie na rektora, 22 kwietnia minister Górski wręczył mi nominację.



Przed jesienią minister rozciągnął koncesję wyborczą na wszystkie szkoły, tak że w październiku 1981 roku wszędzie (z wyjątkiem WSI Radom, o czym dalej) byli już rektorzy pochodzący z wyboru – wybierani przez senaty bądź, jak w Politechnice, przez kolegia elektorów.

W maju 1981 wybrano nowych prorektorów, 21 maja objęli oni swoje funkcje; byli to H. Bernacki, M. Dietrich, W. Kawecki, Z. Marciniak, S. Wojciechowski.

Już przedtem, bo w dniach 10–17 maja dostępna była dla publiczności wystawa tzw. wydawnictw niezależnych, zorganizowana przez NZS za zgodą poprzednich władz uczelni, w szczególności przychylnego studentom prorektora Jerzego Ruszkiewicza. Poważniejszymi konsekwencjami groziło wystawienie na poczesnym miejscu karykatury L. Breżniewa, przedstawionego jako Katarzyna II. Działacz „Solidarności”, dr Tadeusz Diem, zdołał wytłumaczyć organizatorom, że trzeba ją usunąć, bo- wiem nasi wschodni sąsiedzi nie mają na tyle poczucia humoru.

W uzupełnieniu wystawy NZS zorganizował w niedzielę 17 maja na terenie głównym PW kiermasz, gdzie w kilkunastu stoiskach można było wydawnictwa niezależne po prostu kupić. Poleciałem wtedy zamknąć wejścia na teren dla ekip telewizyjnych, najpierw amerykańskiej, potem polskiej.

Różnego rodzaju wydarzenia wolnościowe miały miejsce także na innych uczelniach, władze były zaniepokojone. Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR prof. Roman Ney wezwał wszystkich warszawskich rektorów i udzielił reprymendy, Politechnice na pierwszym miejscu. Musiałem wyglądać na przestraszonego – wieczorem zatelefonował do mnie do domu minister Górski i powiedział: „niech się Pan zanadto nie przejmuję, dobrze Pan działa”. Rektorem byłem od trzech tygodni...

Pośród wydarzeń roku 1981 w Politechnice nie można pominąć tego, co zostawiło ślad najbardziej trwały. Mam na myśli umieszczenie w Dużej Auli Gmachu Główne-

go tablicy poświęconej Tadeuszowi Zawadzkiemu „Zośce” i studentom Politechniki, poległym w latach 1939–1945. Idea powstała w kręgach „Solidarności” na Wydziale Inżynierii Sanitarnej i Wodnej. Inicjatorem był mgr inż. Jerzy Mroz, on także – na ile mi wiadomo – ofiarował odpowiedni marmur.

Odbyła się podniosła uroczystość odsłonięcia tablicy (28 października 1981 r.), obecny był m.in. Stanisław Broniewski „Orsza” oraz – niemalże zbiegiem okoliczności – odtwórca jego postaci w filmie „Akcja pod Arsenalem”, Jan Englert.

Na jesieni 1981 rozpoczęły się na wielu uczelniach strajki studenckie (w Politechnice 16 listopada). Postulatem głównym było skierowanie do Sejmu projektu nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, co też nastąpiło ok. 21 tego miesiąca. Było jednak także – podjęte w imię solidarności – żądanie rozwiązania problemu, jaki powstał w WSI Radom. Strajk pracowników i studentów domagał się tam całkowitego odsunięcia do tychczasowego rektora, prof. Michała Hebdy.

Strajk okupacyjny w Radomiu rozpoczął się 26 października, mimo to następnego dnia odbyły się wybory rektora, które wygrał prof. Hebda. 10 listopada, na prośbę następcy ministra Górskiego, Jerzego Nawrockiego, udała się do Radomia po raz pierwszy kilkuosobowa grupa rektorów z zadaniem mediacji. Nie przyniosło to żadnego skutku.

19 listopada zebrana w UW konferencja rektorów z całego kraju głowiła się nad strajkami studenckimi; prof. Jan Szczepański spowodował, że delegacja rektorów została w środku nocy przyjęta przez generała Wojciecha Jaruzelskiego, przy którym byli Mieczysław Rakowski, Jerzy Nawrocki i Eugeniusz Duraczyński.

Konkluzja tego spotkania była taka, że odbyte w Radomiu wybory rektora nie mogą być uznane (były one bardzo „demokratyczne”, każdy pracownik i każdy student miał jeden głos), powinny być powtórzone według innej, bardziej akademickiej ordynacji, ale prof. Hebda nie może być pozbawiony prawa do kandydowania.

Potem pojechała raz jeszcze do Radomia grupa mediacyjna rektorów, lecz przedstawione przez nich kompromisowe rozwiązanie nie zadowoliło żadnej ze stron konfliktu. Powiadomiłem o tym studentów Politechniki na zebraniu w Dużej Auli dnia 22 listopada. Drugi postulat strajkowy utknął w martwym punkcie.

W pierwszych dniach grudnia stanął przed strajkującymi w Politechnice, i nie tylko przed nimi, nowy problem – bezpieczeństwo byłych studentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej. W szkole tej był strajk okupacyjny, który został złamany przemocą drugiego grudnia; jego uczestnicy – ponad dwustu podchorążych pożarnictwa – przybyli do Gmachu Głównego Politechniki, dołączyli do naszych studentów i tym samym znaleźli się pod naszą opieką.

Szkoła pożarnicza została rozwiązana parę dni wcześniej, sytuacja byłych studentów pożarnictwa była niepokojąca: wygasły odroczenia służby wojskowej, straszono karną kompanią.

Szóstego grudnia zebrana była w Politechnice konferencja rektorów oraz – równoległe – przedstawiciele studenckich komitetów strajkowych. Troska o studentów WOSP stała się problemem ogólnokrajowym; była to także przyczyna, dla której studenci nie chcieli i nie mogli zakończyć bądź zawiesić swego strajku.

Dzięki pośrednictwu profesor Haliny Skibniewskiej otrzymałem wtedy ustne zapewnienie Ministra Spraw Wewnętrznych gen. Czesława Kiszczaka, że nie nastąpią

żadne złośliwe powołania do wojska. Byli studenci pożarnictwa stali się w miarę bezpieczni i można było myśleć o ich dalszych studiach.

Immatrykulacja gdziekolwiek w środku semestru nie była możliwa, postanowiliśmy utworzyć Studium Przygotowawcze do podjęcia studiów typu magisterskiego od lutego 1982 roku.

Strajk studencki w Politechnice zakończył się 9 grudnia, słuchacze WOSP w Gmachu Głównym jednak pozostali, ciągle czuli się niepewnie. Towarzyszyła im grupa studentów z różnych uczelni Warszawy.

Sytuacja zmieniła się diametralnie wraz ze stanem wojennym. Studium Przygotowawcze nie mogło być uruchomione, tym niemniej w niedzielę 13 grudnia w sekretariacie rektora dziekan Wydziału Mechanicznego Technologicznego prof. Paweł Murza-Mucha podpisał i wydał ok. 90 legitymacji Politechniki Warszawskiej byłym studentom WOSP.

Pozostało wyprowadzić ich bezpiecznie z gmachu nie czekając, aż zrobi to najbliższej nocy kto inny. Pod opieką oficerów Studium Wojskowego Politechniki, za sprawą pułkowników Tadeusza Ryczkowskiego i Czesława Podradzińskiego, „strażacy” przeszli grupami do akademika na plac Narutowicza i stamtąd rozjechali się do domów²⁶.

Różnie potem potoczyły się losy byłych studentów WOSP, większość powróciła do studiów w otwartej od nowa Szkole Głównej Służby Pożarniczej oraz do zawodu ze swego pierwszego wyboru.

Dzisiaj, po ponad trzydziestu latach, stanowią doświadczoną kadrę Państwowej Straży Pożarnej.

Wiem, że zachowują Politechnikę i jej gościnę w dobrej pamięci. Córka jednego z nich studiowała na naszej uczelni, w roku 2010 wyszła za mąż za mojego wnuka Andrzeja.

Konsolidacja społeczności akademickiej

Stan wojenny przyniósł zawieszenie studiów w całej Polsce, z Politechniki internowano kilku pracowników i kilku członków NZS; nieco później (16 grudnia) jeden z naszych studentów (Jacek Bartosiewicz z FTiMS) otrzymał karę dwóch lat pozbawienia wolności za to, że przeczytał na głos na ulicy ulotkę przeciwko stanowi wojennemu (przebywał w więzieniu w Hrubieszowie do marca 1983 r.).

W poniedziałek 14 grudnia 1981 r. uczelniana „Solidarność” postanowiła zorganizować strajk okupacyjny w Gmachu Głównym, jako protest przeciwko stanowi wojennemu.

²⁶ Posiadacze legitymacji Studium Przygotowawczego zgłosili się na Politechnikę w lutym 1982 roku i wtedy ujawniła się nowa trudność: w większości kwalifikowali się oni na drugi semestr pierwszego roku studiów, ale tego rodzaju „wznowienie studiów” było generalnie zabronione jako omijające egzamin wstępny. Negocjowałem wówczas z przedstawicielami resortu spraw wewnętrznych rozwiązanie następujące: byli słuchacze WOSP nie zostaną w Warszawie lecz będą przez nas skierowani w małych grupach do paru zaprzyjaźnionych uczelni technicznych w kraju i tam „wznowią studia”, a niejako w zamian władze szkolnictwa wyższego nie zauważą, że łamane jest ich zarządzenie dotyczące pierwszego roku. Tak się stało, słuchacze niedoszedłego Studium wszędzie zdali pomyślnie przepisowy egzamin sprawdzający – z wyjątkiem Białegostoku, gdzie na egzamin przyjechał obserwator z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego.

Miał on się rozpocząć wieczorem i trwać bezterminowo. Dowiedziałem się o tym „boczną drogą” i podjąłem trudną decyzję: kazałem zamknąć Gmach Główny i nikogo nie wpuszczać. Gdyby nie to, najbliższej nocy weszłaby siłą milicja i aresztowała wszystkich uczestników protestu, jak to miało miejsce w SGGW. Tylko tyle, gdyby nie stawiali oporu...

W styczniu 1982 roku zaczęliśmy z dużym zaangażowaniem całej społeczności akademickiej przygotowania do wznowienia zajęć. Przeprowadziłem indywidualne konsultacje z wielu osobami, byli wśród nich dziekani oraz czołowi działacze nielegalnej wtedy „Solidarności”. Z jednym wyjątkiem wszyscy byli zdania, że zajęcia trzeba wznowić możliwie szybko, w miarę możliwości uratować semestr. Jaka bowiem byłaby alternatywa dla dwunastu tysięcy naszych studentów?

To wtedy zrodziła się konsolidacja naszej społeczności wokół Politechniki, zrozumienie jej istoty i zadań, które miały trwać zwłaszcza w całym okresie stanu wojennego. Profesor Maciej Grabski powiedział parę lat później na posiedzeniu Senatu: „Pracuję w Politechnice Warszawskiej już przeszło ćwierć wieku, ale dopiero w czasie ostatnich czterech i pół roku poczułem się częścią tej uczelni, a nie jej gościem czy też najemną siłą roboczą. To było kształcące doświadczenie...”.

Poczucie wspólności szło dosyć daleko, wymienię dwa drobne przykłady. Na początku roku 1982 przyszedł z Radomia rachunek dla NZS Politechniki za papierosy, dostarczone na potrzeby strajku. Kwestor (mgr Edmund Glaza) przyszedł z propozycją żeby rachunek ten zapłacić, bo „co sobie pomyślą o naszej uczelni”. Drugi przykład to wizyta jednego z profesorów, byłego ministra w rządzie PRL, który powiedział „słyszałem, że mają u nas studiować dawni słuchacze Szkoły Pożarniczej; ja mam duże mieszkanie, mogę dwóch z nich przyjąć na stancję na czas studiów, wraz z wyżywieniem”.

Wspomniałem wznowienie zajęć w styczniu '82 roku. Powrócili do warszawskich uczelni wszyscy studenci, z wyjątkiem tych działaczy NZS, którzy się ukrywali przed internowaniem. Sporo ich było zwłaszcza w SGGW, chcieli wrócić do normalnego życia. Rektor Maria Radomska wyrobiła wówczas u Ministra Spraw Wewnętrznych specjalną ścieżkę ujawniania: należało się zgłaszać do płk. Pawłowskiego w Pałacu Mostowskich, nigdzie indziej.

Syn jednego z moich kolegów ujawnił się w zwykłym komisariacie MO i „na nową drogę życia” został pokropiony milicyjną pałką.

Okres stanu wojennego był o tyle łatwiejszy dla społeczności akademickiej, że – zwłaszcza na początku – zmalało bardzo znaczenie partii. Reprezentantami władzy byli teraz komisarze wojskowi, którzy żadnych zadań ideologicznych nie mieli. Nie obrażam sobie na przykład komisarza wojskowego, który przychodzi z propozycją by dziekani poszli do domów studenckich i namawiali mieszkańców do wzięcia udziału w wyborach do Sejmu. Wydarzenie takie miało miejsce, ale nieco później i od strony partii, z liberalnym przyzwoleniem: „głosować mogą jak chcą...”.

Mieliśmy na Politechnice dwukrotny kontakt z komisarzem wojskowym szkolnictwa wyższego, gen. Edwardem Włodarczykiem. Najpierw w pierwszych dniach stanu wojennego, gdy z Filii w Płocku przyjechał sekretarz komitetu zakładowego PZPR z żądaniem, by odwołać prorektora Henryka Bernackiego – został w mojej obecności odprawiony z kwitkiem.

Drugie zetknięcie miało miejsce 13 maja 1982 roku. Na godzinę dwunastą planowane były na wydziałach manifestacje studentów i pracowników przeciwko stanowi wojennemu, połączone z wyjściem na zewnątrz. Krótco przed tą chwilą gen. Włodarczyk ostrzegł przez telefon, że na ulicach czeka milicja. Przekazaliśmy tę informację dziekanom, studenci pozostali w budynkach. ZOMO odjechało.

Nasza akcja była bardzo raptowna, skoro dziekan Wydziału FTiMS Jan Petykiewicz wspominał, że wyciągnięto go z wykładu.

Z ciekawszych wydarzeń roku 1982: w końcu lutego przystałem na propozycję przedstawiciela MSW, żeby pojechać do Jaworza, gdzie był internowany pracownik Politechniki, wspomniany już dr. Tadeusz Diem. Miał on poważne schorzenie kręgosłupa, groziło trwałe kalectwo, jeśli nie będzie kontynuowane przerwane leczenie – nie chciał się jednak zgodzić na zwolnienie, zapewne w poczuciu solidarności z innymi. Zabrałem ze sobą żonę dr. Diema i ich córeczkę; internowany dał się przekonać, przeżyło dobro i przyszłość rodziny.

Studenci Politechniki brali oczywiście udział w różnych manifestacjach na mieście, bywali zatrzymywani i stawiani przed kolegiami do spraw wykroczeń. Wiele osób z Politechniki odwiedzało biura kolegów w dzielnicach Warszawy i zbierało informacje o zatrzymanych studentach dla przygotowania odpowiedniej pomocy. Z czasem przybrało to formę instytucjonalną, powstał rektorski „Zespół zaufania”. Przewodnicząca doc. Teresa Zarębska i członkowie Zespołu mieli stosowne upoważnienia, a kolegom do spraw wykroczeń nakazano zapraszanie przedstawiciela Politechniki do udziału w rozprawach dotyczących jej studentów.

Minister Szkolnictwa Wyższego wydał w styczniu 1983 r. rozporządzenie, nakazujące skreślanie studentów, którzy zostali ukarani za wykroczenia przeciwko przepisom stanu wojennego; rozporządzenie to było ignorowane, studenci ukarani przez kolegia stawiali – a i to nie zawsze – przed uczelnianą komisją dyscyplinarną. Najwyższą wymierzoną karą bywała nagana z ostrzeżeniem, w zawieszeniu.

Nikt nie był relegowany, ale taka też była tradycja Politechniki. Nie relegował nikogo rektor Smoleński w marcu 1968 roku, pochodzący gdzieś spod Lidy student FTiMS za swoją drukarnię w „Mikrusie” otrzymał (w 1979 roku) od komisji dyscyplinarnej karę nagany – z tytułu przechowywania w domu studenckim łatwopalnych materiałów. Był to Teodor Klincewicz.

W czasie stanu wojennego, a także po jego zakończeniu, przeważała w uczelni postawa kontestacji. Bywały także dylematy – oto jeden z nich. Przyszła do mnie zastawiona redaktorka „Zeszytów naukowych”, z którą nigdy przedtem nie miałem styczności i powiedziała, że przyznano jej Srebrny Krzyż Zasługi, ale ona od tej władzy odznaczenia nie przyjmie oraz zamierza nadać swemu protestowi odpowiedni rozgłos. Nic bardziej słusznego, ale ja pamiętałem, że Brązowy Krzyż Zasługi ma otrzymać długoletnia sprzątaczką z domu na Księcia Janusza, taka co to oprócz normalnych obowiązków trochę matkowała studentom, przyszła guzik, coś uprasowała i tak dalej. Czy chcemy jej powiedzieć, że odznaczenie, które otrzymuje to jest coś brudnego, czego powinna się wstydzić? Stało na tym, że redaktorka odznaczenia nie odbierze, ale rozgłosu nie będzie.

Meandry legislacji

Wielka fala wyzwolona przez NSZZ „Solidarność”, docierająca do wszystkich niemal dziedzin życia, spowodowała także przygotowanie nowej legislacji dla szkolnictwa wyższego. W marcu 1981 roku ukończono projekt tzw. ustawy Resicha (prof. Zbigniew Resich, UW), która m.in. przywracała pełną obieralność władz akademickich. O tę właśnie ustawę walczyły – jak już wspomniałem – strajki studenckie. Do uchwalenia ustawy przed stanem wojennym nie doszło, Sejm zaakceptował ją, z niewielkimi zmianami, 4 maja 1982 roku. Obowiązywała od 1 września 1982 r., do niej dostosowywały uczelnie swoje statuty.

Z sympatią i uznaniem dla rozmówcy wspominam dyskusje o statucie Politechniki prowadzone z przedstawicielem „Solidarności” dr Andrzejem Szusterem w jego pokoju w gmachu Inżynierii Sanitarnej, chociaż nie zawsze się zgadzaliśmy.

W lipcu 1983 r. Sejm uchwalił ustawę o szczególnej regulacji prawnej w okresie wychodzenia z kryzysu, która m.in. dotkliwie ograniczyła samorządność i autonomię szkół wyższych, dając szerokie kompetencje ministrowi. Przeciw tym zmianom pięcioro rektorów warszawskich uczelni (Maria Radomska, Jan Nielubowicz, Andrzej Łapicki, Andrzej Rakowski i Władysław Findeisen) wypowiedziało się w liście, skierowanym do premiera gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

Skoro o listach mowa – był też inny list, innych sygnatariuszy, informujący członka Biura Politycznego KC PZPR Albina Siwaka, że na Politechnice rządzi ekstrema „Solidarności”.

W lipcu 1985 roku nastąpiły daleko idące zmiany w ustawie z 4 maja 1982 r., ograniczono m.in. skład organów kolegialnych kosztem studentów oraz pracowników, nie będących profesorami lub docentami. Pozostawiono obieralność władz rektorskich i dziekańskich, ale zostawiono furtkę dla załatwienia najbardziej pilnych porachunków: w terminie do 30 listopada 1985 roku minister mógł odwołać („nie potwierdzić”) każdego wcześniej wybranego rektora, prorektora, dziekana i prodziekana.

Partia nie zapomina

Dla kierownictwa partii w Politechnice stało się zapewne kamieniem obrazy, że w kadencji 1984–87 funkcję rektora sprawuje osoba, której odmówiono tzw. rekomendacji. Tutaj trzeba się cofnąć: w czasie wyborów 1984 r. zaproszono mnie niespodziewanie do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, gdzie czekał sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR prof. Roman Broszkiewicz, żeby mi oświadczyć: „klasa robotnicza nie życzy sobie, żeby pan był rektorem”. Sformułowanie tyleż anachroniczne, co wygodne – można było się obyć bez uzasadnienia.

Zdawałem sobie sprawę z zagrożenia dla uczelni, ale na wycofanie się było już za późno. Proces wyborczy był w pełnym toku, wybrani byli dziekani, którym obiecywałem kandydowanie, zebranie Kolegium Elektorów dla wyboru rektora miało się odbyć za kilka tygodni.



Wycofać się nie mogłem z jednego jeszcze powodu: ok. dwa tygodnie wcześniej znalazłem się w konflikcie z „Solidarnością” na tle wyborów do Senatu Politechniki. Polegało to na tym, że kandydowałem w grupie adiunktów – i zostałem wybrany – jej przewodniczącym (dr Andrzej Smirnow). Oczywiście wyobraźni ujrzałem obrady, gdzie wnioski członka Senatu nie są głosowane według ich merytorycznej treści, ale według tego, kto jest za, a kto przeciw „Solidarności” (był to rok ’84, kiedy związek miał charyzmę organizacji podziemnej i niepodległościowej). Byłem pewien, że nie będę umiał sprostać takim sytuacjom i zgłosiłem gotowość odstąpienia od kandydowania na stanowisko rektora. W odpowiedzi na to dr Smirnow z miejsca w Senacie zrezygnował – nie mogłem potem ja ustąpić partii.

Po kilku dniach od wspomnianej rozmowy w Ministerstwie wpłynęła do Politechniki decyzja o wstrzymaniu rekrutacji na Wydział Chemiczny, później przystano kontrolę NIK.

Wybór rektora na kadencję 1984–1987 nastąpił dnia 26 czerwca, miesiąc później wybrano prorektorów (Z. Ciok, M. Dietrich, W. Kawecki, J. Kwiatkowski, S. Wojciechowski).

Dnia 1 października 1985 r., w chwili zakończenia uroczystości inauguracji roku akademickiego, na członków Senatu i zgromadzonych w Dużej Auli jej uczestników, posypały się z wysokiego krużganka ulotki. Była to akcja uczelnianej „Solidarności”, działającej wówczas w podziemiu, mająca na celu zwrócenie uwagi na jej istnienie. Nie do końca się to powiodło – społeczność akademicka była zdezorientowana, wielu sądziło, iż to prowokacja „służb” mająca osłabić prestiż władz uczelni.

Wkrótce potem, w listopadzie, kierownictwo partii w Politechnice uznało, iż można pokazać społeczności akademickiej do kogo należy władza. Drogę prawną do odwoła-

nia rektora, a przy okazji także trzech dziekanów i czworga prodziekanów (byli to Jan Petykiewicz i Witold Kołodziej z FTiMS, Andrzej Makowski, Jan Panasiuk i Urszula Urbaniak-Biernacka z GiK, Paweł Murza-Mucha i Zbigniew Wrześniński z MT) otwierała wspomniana już furtka w najnowszej ustawie. Postarano się o decyzję polityczną Komitetu Warszawskiego, ministrowi szkolnictwa wyższego pozostało tylko jej wykonanie.

Wiceminister prof. Tadeusz Beldowski powiedział to otwarcie na posiedzeniu Senatu PW dnia 30 listopada: „zasadniczym elementem w decyzji Ministra o odwołaniu rektora było utracenie rekomendacji Komitetu Warszawskiego partii”.

Usunięcie części władz akademickich w oparciu o ustawę z lipca '85 roku było sankcją dotkliwą:

- podważono autonomię wyborczą Politechniki
- studenci tracili rektora i dziekanów, na których wybór w 1984 roku mieli jeszcze wpływ
- pracownicy mogli spodziewać się ocen i represji opartych na kryteriach politycznych.

Warto tu wspomnieć, że odwołano wtedy w Polsce, oprócz mnie, rektora Uniwersytetu Gdańskiego prof. Karola Taylora i rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, prof. Franciszka Kaczmarka. Funkcję rektora Politechniki Poznańskiej przestał pełnić prof. Tadeusz Puchalka – nie wiem, czy był odwołany, czy sam zrezygnował.

W pierwszych dniach grudnia były już prorektor prof. Wiesław Kawecki udał się na zebranie samorządów domów akademickich i poprosił, w swoim i moim imieniu, by studenci raczej pomogli mojemu następcy być dobrym rektorem – tego potrzebowała Politechnika.



Zamiast epilogu

Trwałym dla mnie wspomnieniem pozostanie tłumne i wzruszające pożegnanie, jakie mi zgotowali studenci i pracownicy w Dużej Auli Politechniki dnia 29 listopada 1985 roku. Mam także w oczach panią Marysię, sprzątaczkę, płaczącą pod oknem w rektorskim sekretariacie, kiedy przyszła wiadomość o moim odwołaniu.

Zakończył się czas sprawowania przeze mnie funkcji rektora Politechniki Warszawskiej. Brakowało mi merytorycznego przygotowania – wcześniej nie byłem nawet prodziekanem; nieoceniona była zatem pomoc i wsparcie prorektorów, a także dziekanów obu kadencji, zbyt licznych, żeby ich tu wymienić. Wspomnę również, że na samym początku odwiedziłem z pytaniami moich wybitnych poprzedników, Dionizego Smoleńskiego w jego mieszkaniu na MDM oraz Jerzego Bukowskiego w lecznicy w Konstancinie.

W najważniejszych dla uczelni sprawach i momentach odczuwałem wsparcie społeczności akademickiej Politechniki, winien za to jestem serdeczną pamięć i wdzięczność.

Lata 1981–1985 były z pewnością drugim co do ważności okresem w moim życiu, jeżeli nie wprost najważniejszym. Po raz pierwszy odczuwałem tak duży ciężar odpowiedzialności, odpowiedzialności za uczelnię mającą dwanaście tysięcy studentów i prawie osiem tysięcy pracowników, w niełatwym okresie polskiej historii.

Władysław Findeisen, listopad 2010 – czerwiec 2014